

MAREK
KLECEL

Halik Kochanski, „Orzeł niezłomny. Polska i Polacy podczas II wojny światowej”, przekład Jan Szkudliński, Dom Wydawniczy „Rebis”, Poznań 2013

Narzekamy nieraz, że polska historia nie jest znana na Zachodzie. Trzeba zauważyć, że jest też coraz mniej znana i w kraju. Ale ta sytuacja może się zmienić, przynajmniej na wspomnianym Zachodzie. Należy przyznać, że powstaje tam coraz więcej książek o zapomnianych dziejach Europy Wschodniej, w tym o Polsce, zwłaszcza podczas II wojny światowej. Okazuje się ona interesująca dla publiczności zachodniej, odkrywa się nieznaną kartę bohaterstwa Polaków, ich udział w kampaniach wojennych na całym świecie, losy niezwykłych postaci. Można niekiedy odnieść wrażenie, że chętniej niż w kraju są tam przyjmowane książki o Pileckim, Karskim czy Kołbem. Coraz pełniej też zostaje przedstawiona historia II wojny nie tylko na Zachodzie, ale i na Wschodzie Europy, gdzie współdziałały, a później zwalczały się totalitaryzmy niemiecki i sowiecki. Z trudem przebija się tam świadomość, że w konsekwencji wojny Europa Wschodnia została opanowana i zrujnowana przez komunizm sowiecki. Do pisarzy historycznych, którzy propagują polską historię w szerszych ramach, dołączyła ostatnio angielska historyk polskiego pochodzenia Halik Kochanski ze swą książką „Orzeł niezłomny”, w której starała się ująć cały udział Polaków w II wojnie. Napisała ją oczywiście dla czytelnika zachodniego, który nie zna bliżej historii naszego kraju, dlatego przedstawiła najpierw skrótowo jego wcześniejsze dzieje. Opisała dalej całość wojny, okupację niemiecką, Holokaust, państwo podziemne, powstanie warszawskie, jak i jej drugą, mniej znaną, lecz przez następne półwiecze ważniejszą, „wschodnią” stronę: udział sowiecki w wybuchu wojny, zagarnięcie Kresów Wschodnich, eksterminację i deportacje tamtejszej ludności polskiej, wymordowanie kadry przywódczej, wreszcie brutalny i podstępny podbój kraju przez sowiecki komunizm, likwidację przeciwników politycznych, zniszczenie niepodległościowych aspiracji Polaków. ■

Andrzej Kowalski, „Rosyjski sztylet. Działalność wywiadu nielegalnego”, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2013

Zpotężnego niegdyś imperium rosyjskiego pozostało imperium służb specjalnych, wywiadu, policji, resortów siłowych, które do dziś rządzą Rosją. Mają one niezmienną władzę od czasów carskiej Ochrony, przez formacje komunistyczne od GRU, NKWD, później KGB aż do FSB. Andrzej Kowalski, były szef kontrwywiadu już w obecnej Polsce, napisał książkę o pewnym szczególnym rodzaju sowieckiego i rosyjskiego wywiadu, jakim jest głęboko zakonspirowana agentura tzw. nielegalów, działająca na terenie obcych państw, lecz niezależna od oficjalnego wywiadu. Jej specyfiką jest to, że agenci w sposób naturalny i stopniowy wchodzą w środowisko obcych krajów, prowadzą najpierw działalność maskującą, wnikają w obce społeczności i rodziny, przyjmują obywatelstwo lub przejmują cudzą tożsamość, co przygotowują już służby w Moskwie. Mają wtopić się w nowe społeczeństwa tak, by uwiarygodnić się i przenikać swobodnie do obcych instytucji, służb, środowisk. Często pozostają długo „uśpieni” i są wykorzystywani do wyznaczonych zadań dopiero po latach. George Blake, znany jako wyższy oficer służb angielskich, był w rzeczywistości Rosjaninem, którego KGB wprowadziło do akcji w czasie II wojny. Jego działalność przyniosła aliantom ogromne straty. Później, gdy groziła mu dekonspiracja, nie uciekał do Moskwy jak Philby, Burgess i Maclean, lecz po prostu wrócił do ojczyzny. Po wyborze Jana Pawła II do Polski został skierowany „nielegal” Oleg Derewliow występujący pod nazwiskiem Burien jako kanadyjski wydawca. Miał dostarczać wiadomości o polskim Kościele. Pod pretekstem zbierania danych o polskich misjonarzach działających na Dalekim Wschodzie kontaktował się z wieloma znanymi hierarchami Kościoła, rozmawiał m.in. z ks. Józefem Tischnerem. Autor opisuje wielu dawniejszych i już znanych „nielegalów”, ich metody działania i poszczególne operacje. Jako specjalista od polskiego wywiadu, również od likwidacji WSI, posiada wiarygodną wiedzę, choć zapewne w tej książce nie mógł jej w pełni ujawnić. ■

WŚRÓD KSIĄŻEK

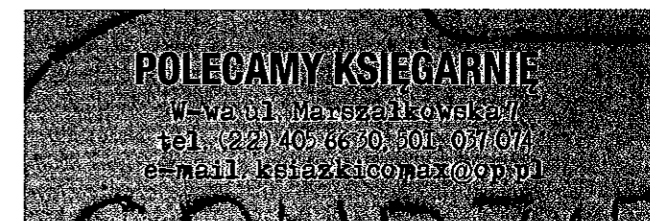


Czesław Blicharski, „Tarnopolanina żywot niepokorny”, Biblioteka „Glaukopis”, WOW „Gryf”, Warszawa 2013

Biografie kilku pokoleń Polaków w XX w. układają się w ogólniejszy wzorzec polskiego losu, na który składają się udział w II wojnie światowej, okupacja, walka, konspiracja, więzienia, obozy, deportacje na Wschód. Ci, którzy przeżyli wojnę, mieli wybór: życie w warunkach obcego ustroju komunistycznego lub zaraz po wojnie emigracja na Zachód. Czesław Blicharski, który wydał, a właściwie odświeżył swe wspomnienia o kolejach swego długiego i burzliwego życia, mieści się dokładnie w tym wzorcu polskiego losu. Urodzony w roku odzyskania niepodległości, spędził dzieciństwo i młodość na terenach nazywanych dziś Kresami Wschodnimi. Studiował prawo we Lwowie, tam też rozpoczął działalność w szeregach Młodzieży Wszechpolskiej. Po wybuchu wojny i wkroczeniu Armii Czerwonej próbował przedostać się na Zachód, by wstąpić do Armii Polskiej. Został jednak schwytyany i deportowany do łagrów na północy Rosji. Dużą część książki zajmuje dziennik z pobytów w łagrach koło Archangielska, które z trudem udało mu się przeżyć. Po umowie Sikorski-Majski został zwolniony i dotarł do organizującej się armii gen. Andersa. Zgłosił się na ochotnika do lotnictwa i w 1942 r. trafił do Wielkiej Brytanii. Latał w polskim dywizjonie bombowym, odbył kilkanaście lotów bojowych nad Niemcy. To również szczegółowo opisuje w swej książce. Po wojnie pozostał na emigracji. Po kilku latach pobytu w Anglii, gdy nie honorowano już zbyt wielu polskich weteranów wojennych, zdecydował się wraz z braćmi odnalezionymi po wojnie na wyjazd do Ameryki Południowej, gdzie łatwiej było się urządzić. Zamieszkał w Argentynie, później w Urugwaju. Musiał podejmować się różnych zajęć zarobkowych. Po 1956 r. zdecydował się, jak niektórzy emigranci, na powrót do kraju, czego już te wspomnienia nie obejmują. Są one tym ciekawszym i ważniejszym, że osobistym świadectwem autora, uzupełnionym zapisami i korespondencją z narzeczoną w kraju, z którą Czesław Blicharski rozdzieliła wojna. ■

Anna Dobrowolska, „Fotograf z Auschwitz”, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2013

Nazywam się Wilhelm Brasse. Z zawodu jestem fotografem. Od września 1940 r. byłem więźniem w obozie koncentracyjnym Auschwitz, gdzie wykonałem ponad 50 tys. zdjęć do obozowych kartotek oraz dokumentację eksperymentów dr. Mengele – tak przedstawiał się autor zdjęć, które we wstrząsającym albumie wydał IPN. Dołączono do nich wspomnienia obozowego fotografa oraz inne dokumentalne relacje z Auschwitz. Brasse pochodził z rodziny austriackiej osiadłej w Żywcu, tam też zdobył zawód. Brał udział w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli niemieckiej, próbował uciec przez Węgry na Zachód. Schwytyany, został wywieziony do Auschwitz w drugim polskim transporcie z Tarnowa w 1940 r. Po pół roku pobytu w obozie został obozowym fotografem. Rejestrował tysiące więźniów, wykonywał też zdjęcia indywidualne esesmanom. Musiał również dokumentować eksperymenty medyczne dr. Mengele. Kiedy rozpoczęła się masowa eksterminacja Żydów w 1941 r., zaprzestano ich fotograficznej rejestracji. Gdy na przełomie 1943 i 1944 r. zdecydowano, że Brasse nie będzie już fotografował Polaków, zrozumiał, co to oznacza. Wielu niemieckich oprawców chciało mieć własne zdjęcia. Fotografie te wysyłali jako pocztówki. Wilhelm zapamiętał szczególne zamówienie: kazano mu fotografować ludzi z tatuażami. Później zauważył w mieszkaniu jednego z esesmanów skórę z tatuażem, który wcześniej uwiecznił na zdjęciu, rozpiętą na ścianie. Brasse po wojnie nigdy już nie wziął aparatu fotograficznego do ręki. ■



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Koszmar Auschwitz w obiektywie



PIOTR
ZYCHOWICZ

**Wilhelm Brasse
uwięziony w Oświęcimiu
fotografował więźniów,
esesmanów i ofiary
dr. Josefa Mengelego**

Wilhelma Brasse'a poznałem osobiście. Było to sześć czy siedem lat temu, gdy pisałem reportaż na temat Auschwitz. Zrobił wówczas na mnie wielkie wrażenie. Rozmawiałem w życiu z wieloma świadkami historii, ale spotkanie z nim należało do tych najciekawszych. I nie chodzi tu tylko o jego wstrząsające, niesamowite przeżycia, ale także o to, że Brasse był szczery. Nie upiększał swoich przeżyć, nie streszczał przeczytanych po wojnie książek. Po prostu opowiadał.

Tak właśnie napisane są jego – wydane właśnie w formie albumu – wspomnienia. Wilhelm Brasse był fotografem w Auschwitz. W tym czasie zrobił zdjęcia ponad 50 tys. więźniów, fotografował obozową infrastrukturę i efekty eksperymentów medycznych dr. Josefa Mengelego „Anioła Śmierci”.



★★★★★

„FOTOGRAF
Z AUSCHWITZ”
IPN 2013

Brasse został aresztowany przez Niemców, gdy próbował uciec z okupowanej Polski na Węgry. Chciał przedostać się do polskiego wojska na Zachodzie. Ciężko pobity przez gestapo

w Sanoku po tym, gdy odmówił podpisania Reichlisty, został skierowany do Auschwitz, gdzie nadano mu numer 3444.

Po pół roku został zatrudniony jako obozowy fotograf. Miał robić zdjęcia przybywającym w kolejnych transportach więźniom. Przy okazji fotografowali się u niego również esesmani. Brasse znał więc wielu ludzi, dużo słyszał, dużo widział i dużo zapamiętał. Jego relacje są często makabryczne. „Pamiętam jednego więźnia. Nosił polskie nazwisko Zieliński – wspominał. – Kazano mi zrobić zdjęcie tatuażu na jego plecach. Był przepięknie zrobiony, przedstawiał rajskie drzewo i Ewę podającą Adamowi jabłko. Po kilku tygodniach udało mi się dostać do krematorium z komandem nosicielom trupów i tam zobaczyłem na stole rozpiętą skórę z pleców Zielińskiego. Ponoć jakiś Niemiec kazał oprawić w nią Biblię”.

Kazano mu również fotografować ludzi chorych, niepełnosprawnych i zdeformowanych. A wreszcie więźniów, którzy przeszli przez ręce Mengelego... Brasse robił także zdjęcia ginekologiczne, których opisy należą do jednych z najbardziej makabrycznych i przerażających świadectw niemieckiego bestialstwa. Olbrzymia część ludzi, którzy przeszli przez atelier Brasse'a, wkrótce trafiała do obozowego krematorium.

Gdy fotograf z Auschwitz zmarł w 2012 r., odszedł niezwykle ważny świadek paskudnego wieku XX. Jego opowieść jednak przetrwała. Unieśmiertelnij ją opublikowany właśnie przez IPN album.

Tropiki nad Wisłą



SŁAWOMIR
KOPER

20 grudnia 1934 r. odbyła się premiera filmu „Czarna perła”, którego producentem był Eugeniusz Bodo. On również zagrał główną rolę męską, natomiast jego partnerką została pochodząca z Polinezji Anne Chevalier, zwana Reri. Reżyserem filmu był oczywiście niezrównany Michał Waszyński.

Polinezyjka przybyła do Polski w ramach promocji amerykańskiego filmu „Tabu”, w którym grała jedną z głównych ról. Miała wówczas niewiele ponad 20 lat, a jej egzotyczna uroda wzbudzała powszechny zachwyty. Nad Wisłą uległa wdziękowi pana Eugeniusza, ten zaś zadbał o zgodę amerykańskich promotorów na przerwanie trasy. Planował bowiem stworzenie z Reri gwiazdy, nie oszczędzał na jej strojach i biżuterii, spał z nią również profesjonalny kontrakt.

Razem zamieszkałi, bywali w lokalach. Reri intensywnie uczyła się języka polskiego i podobno już niebawem wymawiała „chrząszcz brzmi w trzcinie” lepiej od Fryderyka Jąrosyego.

„Czarną perłę” wyprodukowała wytwórnia Bodo, Urania Film. Egzotyczna opowieść o miłości, zdradzie i wierności, wzbogacona muzyką Henryka Warsa, wydawała się pewnym sukcesem. Na potrzeby filmu studio przy ulicy Trębackiej zamieniło się w tropikalną dżunglę, zdjęcia kręcono również na Helu. Przywiezione ze stolicy palmy wprowadziły w osłupienie miejscowych Kaszubów, ale Bodo doskonale wiedział, że aby zarobić, należy wcześniej zainwestować.

Po latach najbardziej przejmujące wrażenie robi

scena, w której Reri śpiewa piosenkę „Dla ciebie chcę być biała”. Scena zresztą znakomita, a ewidentne przekręcenia polskich słów tylko dodają jej autentyczności. Natomiast zamknięty w sobie, obserwujący ją uważnie Bodo to już zupełnie mistrzostwo świata. Zagrał bez słów, oszczędna mimika twarzy uzmysławia, jak znakomitym był aktorem.

Film odniósł oszałamiający sukces, a jego główni bohaterowie podobno snuli plany matrymonialne. Nie wyszły one jednak poza wstępną fazę, Bodo zresztą zajmował się głównie pracą, a Reri w Warszawie czuła się obco. Praw-

**Egzotyczna uroda
młodej Polinezyjki
wzbudzała
nad Wisłą
powszechny zachwyty**

dopodobnie konflikty powodowała również jej skłonność do alkoholu, której partner nie tolerował.

Doszło do zerwania i Reri powróciła na Tahiti, gdzie w 1961 r. spotkał ją polski reporter Lucjan Wolanowski. Polinezyjka nie ukrywała wzruszenia na dźwięk polskiej mowy, pokazywała mu stare zdjęcia, pytała o ludzi, którzy zginęli w czasie wojny, nie wiedziała nawet o śmierci swojego dawnego kochanka. Wciąż lubiła mocne trunki, ale nawet po latach pamiętała (po polsku!) cały tekst piosenki „Dla ciebie chcę być biała”.

Anne Chevalier nigdy nie opuściła już rodzinnej Polinezji, zmarła tam w 1977 r., w wieku 65 lat.